№ 7. Warszawa, 18 Lutego 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administracji Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

BEZ ZMIANY.

Jak można było przepowiedzieć zgóry, nowe, tylko co ukończone wybory do 4-go sejmu finlandzkiego były najzupełniej zbyteczne. Oblicze helsingforskiej Izby poselskiej pozostało w głównych swych rysach to samo, jakie było przed ostatnim rozwiązaniem sejmu. Ci, co liczyli na zwrot w przekonaniach wyborców, dowiedli całkowitej nieznajomości ludu finlandzkiego, który zdecydowawszy się raz na pewne określone stanowisko, twardo na nim stoi, nie poddając się żadnym podmuchom, wiejącym z południa fińskiej zatoki.

Skład nowego sejmu przedstawiać się dziś będzie, jak następuje:

socjalistów	87,	w sejmie z r. 1909	84
starofinów	42	„ „ „	48
młodofinów	28	„ „ „	28
szwedów	26	„ „ „	25
agrarjuszów	16	„ „ „	13
robotnik. chrz.	1	„ „ „	2
	200		200

Jeśli więc jest jakakolwiek poważniejsza zmiana, to wyraża się tylko w dalszym upadku ugodowców—starofinów.

Stronnictwo to w istocie ciągle topnieje. Jego frakcja sejmowa w r. 1907 liczyła 60 posłów, w 1908—54, w 1909—48, dziś, w 1910—już tylko 42! Odpowiada to i ustawicznemu zmniejszaniu się ilości głosów, podanych przy wyborach na kandadatów starofińskich. Przy ostatnich — starofinowie otrzymali o przeszło 30 tysięcy głosów mniej, niż w roku zeszłym.

Napróżno prasa partyjna usiluje dowieść, że jest

to wynikiem nie błędnej taktyki stronnictwa, lecz zmęczenia wyborców, co roku wzywanych do urn. W istocie, w okręgach starofińskich absenteizm mniejszy był, niż gdzieindziej, wyborcy tłumnie spełniali obowiązek obywatelski, ale w znacznej ilości nie głosowali już za starofinami.

Jest to oczywistym dowodem, że jedyne stronnictwo w kraju, które w zatargu rosyjsko-finlandzkim, gotowe jest do jawnych ustępstw a przynajmniej pragnie unikać zaostrzeń, straciło wśród wyborców zaufanie. Finlandczycy w przygniatającej większości nie wierzą już wcale, aby ustępstwa czy tylko kompromis w dziedzinie zasadniczych, potylekroć zagwarantowanych im praw mogły zapewnić W. Księstwu choćby jedynie powstrzymanie dalszych dążeń biurokracji rosyjskiej w kierunku organicznego wcielania Finlandji do Cesarstwa. Ludność finlandzka woli dziś przegrać w otwartej bitwie, aniżeli ponosić ciągle klęski, poddając się.

Socjaliści przy ostatnich wyborach zdobyli tylko 2 nowe krzesła poselskie. Ten niewielki (zresztą stały) wzrost można łatwo zrozumieć. Wybory zakończone nie odbywały się pod hasłem zagadnień wewnętrznych, społecznych, lecz w imię obrony zagrożonych praw czysto-politycznych, konstytucyjnych,—nowa Izba nie będzie miała za zadanie tworzenia nowych form prawnych dla swobodnego rozwoju życia ludności finlandzkiej, lecz może zostanie zmuszona jedynie i wyłącznie do bronienia odrębności Księstwa i ochraniania przed rozbiciem z wewnątrz cennych form konstytucyjnych.

Dlatego też wyborcy, którzy w każdym innym wypadku musieliby czynić różnicę między socjalistami a t. zw. konstytucjonalistami, dziś mogli oddawać głosy również dobrze za temi czy owemi, oba bowiem odłamy mają tak samo radykalne i zdecydowane poglądy na sprawy czysto polityczne, konstytucyjne [1]).

Stronnictwa „konstytucyjne"—szwedzi, młodofinowie i agrarjusze [2]) — kładący główny nacisk na zagadnienia czysto polityczne, odnieśli też tym razem największe zwycięstwo, zdobyto ogółem 4 nowe mandaty, z czego 1 przypadł szwedomanom, 3—zaś dostało się agrarjuszom. A ponieważ i talmanem Sejmu ma zostać znowu młodofin Swinchuwud, jest to jaskrawym dowodem, że ludność pokłada całkowite zaufanie w zdecydowanej taktyce politycznej nieprzejednańców finlandzkich [3]).

W ten więc sposób ugodowcy—starofinnowie zostali sprowadzani w nowym sejmie do znikomej mniejszości, nie mogącej nawet w najbardziej palących zagadnieniach chwili rachować na żadne sojusze. Aczkolwiek poprzednio głosowali niekiedy razem z socjalistami, działo się to jedynie, gdy szło o wewnętrzne prawodawstwo społeczne. W dziedzinie czysto politycznej starofinowie nie porozumieją się nigdy z posłami socjalno-demokratycznemi.

Taki układ rzeczy oddaje Sejm całkowicie w ręce żywiołów nieprzejednanych, które o ile nawet są gotowe do jakichkolwiek ustępstw rzeczowych, uczynią to jedynie wtedy, gdy ustępstwa te będą mogły zrobić bez naruszenia praw, poręczonych parlamentowi helsingforskiemu konstytucją. Zachowanie tej ostatniej w całej czystości i nietykalności jest głównem—i słusznem—hasłem konstytucjonalistów. Jak węgrzy, finlandczycy dbają przedewszystkim o całość naczynia konstytucji, gdyż sposób stanowienia praw jest poniekąd donioślejszy od ich zawartości, jako rzeczy bardziej zmiennej i łatwiej dającej się zmieniać.

Przyszłość Finlandji złożona więc została w ręce nieprzejednańców, oni ponosić będą odpowiedzialność za tę przyszłość.

A jest ona bardziej mroczna, niż kiedykolwiek.

Wobec „uporu" finlandczyków, wobec nieudanej próby zmienienia oblicza sejmu, spodziewać się można nowego rozwiązania Izby lub też stanu *ex lex*.

Kości zostały rzucone...

W—ski.

---

¹) Przy sposobności należy zauważyć, że wskutek pewnych nieporozumień w łonie partji, niektórzy z najpoważniejszych przywódców socjalistycznych nie wystawili tym razem kandydatów. Do nich zalicza się znakomity Sirola, vice-talmen sejmów poprzedzających. Jest to niewątpliwie poważna strata zarówno dla partji jak i dla sejmu, któny wybrany został, między innemy, pod hasłem głosowania na najbardziej wybitnych ludzi Pod naciskiem tego hasła zgodził się kandydować i przeszedł (największą ilością głosów) najznakomitszy znawca prawa konstytucyjnego finlandzkiego, europejska powaga naukowa, b. Senator. Leo Mechelin, szwed.

²) Stronnictwo ludowe, które w ostatnich jednak czasach raczyło ciężyć ku socjalistom, jako ku pokrewnym sobie pod względem radykalizmu społecznego.

³) Przy obecnych wyborach jeszcze mniej niż poprzednio wyborcy zwracali uwagę na pochodzenie narodowe kandydatów. Głosowano na szweda czy młodofina tylko ze względu na ich pochodzenie polityczne.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

Siódmy Zjazd Francuskiej partji socjalistycznej. W przededniu wyborów do Izby, odbył się w Nimes Zjazd socjalistycznej partji francuskiej. Prasa burżuazyjna z niekłamaną ciekawością śledziła przebieg obrad żywiąc nadzieję, że stanie się on momentem krytycznem dla połączonej partji, w łonie której ujawniają się różnice poważne i niejednokrotnie ostre antagonizmy w wielu pierwszorzędnych sprawach taktyki partyjnej. W łonie partji rozwijają się wszystkie kierunki socjalizmu europejskiego, poczynając od zdecydowanych rewizjonistów w rodzaju Bretou'a, a kończąc na nieprzejednanych zwolennikach syndykalizmu rewolucyjnego i wrogach parlamentaryzmu, jakim jest Hervé. Sprzedawczy dziennikarze węszyli rozłam i krakali na zgubę. Prace Zjazdu zawiodły ich nadzieje. Pomimo ostrych nieraz dysonansów, obrady nosiły charakter poważny i płodny w rezultaty, poczucie odpowiedzialności wobec klasy robotniczej i dobrze zrozumiana potrzeba zespalania sił proletarjatu wskazywały mówcom granice, których przekraczać nie należało. Partja francuska wyszła z tej próby silniejsza niż kiedykolwiek, by rzucić stronnictwom burżuazyjnym rękawicę podczas wiosennych wyborów, by wykazać raz jeszcze, że jest ona jedyną przedstawicielką proletarjatu.

Na Zjeździe było 220 delegatów z 336 głosami, którzy reprezentowali 72 konfederacje lokalne. Ciekawem było sprawozdanie skarbnika, które wykazało wzrost znaczny budżetu partyjnego, mianowicie: wydatki podniosły się z roku przeszłego z 93,000 fr. do 103,000 fr., dochody z 107,000 fr. do 132,000 fr. W kasie pozostaje 73,000 fr.

Podczas sprawozdania grupy parlamentarnej głos zabrał Hervé i wystąpił z ostrą krytyką działalności

parlamentarnej partji. Zarzuca on taktyce parlamentarnej socjalistów brak rewolucyjności i energji, wskazuje na szereg wypadków, kiedy opozycja ta była zbyt słabą. Przyczyna tego leży przedewszystkiem podług Hervé w tem, że najwybitniejszą rolę, rolę kierownika odgrywa w parlamencie Jaurès i dzięki swej pracowitości i dzięki swym wysokim zdolnościom. Posiłkuje się on, podług Hervé, temiż metodami walki, co partje burżuazyjne. Przemówienie Hervé nacechowane było właściwą mu ironją i sarkazmem. „Aż do chwili obecnej, zakończył on, wszystkie kongresy groziły mi wykluczeniem. Dziś zastanawiam się, czy to nie ja winienem wam złożyć głęboki ukłon po stwierdzeniu wzniosłości waszych poglądów, które znakomicie przystają do szaflika wyborczego. Zastanawiam się, czy, pozostając z wami, nadawać wam w dalszym ciągu cechę rewolucyjności, do której nie macie prawa. Krótko mówiąc, zastanawiam się czy nie byłoby słusznem żebym was opuścił". Mowa ta wywołała ogólną konsternację na sali, Zjazd jednak z całym taktem przeszedł nad nią do porządku dziennego.

Po wysłuchaniu i przyjęciu sprawozdania Biura Międzynarodowego, Zjazd przeszedł do kwestji najważniejszej, — do sprawy projektu Senatu Ubezpieczenia robotnika na starość. (les Retraites Ouvriéres).

Projekt reformy tyczącej się ubezpieczenia na starość, głosowany w parlamencie w r. 1906, spoczywał długo w biurze prezydjum Senatu. Obecnie, podniesiony i postawiony na porządek dzienny uległ licznym zmianom. Wywołał on ostrą dyskusję w prasie socjalistycznej między zwolennikami przyjęcia go i tymi, którzy uważali, że bezwzględnie odrzucić go należy. Najostrzej postawiła kwestje Konfederacja Pracy (la Confédération Générale du Travail), która rozpoczęła usilną agitację przeciw projektowi Ubezpieczenia.

Na Zjeździe wyraźnie zarysowały się dwa obozy: zwolenników i przeciwników Reformy. Do pierwszych należeli przeważnie zwolennicy Jaurès'a, do drugich zwolennicy Guesd'a (który z powodu choroby nie był obecnym) i Hervé'go.

Przeciwnicy bezwzględni projektu zwracali uwagę przedewszystkiem na obciążanie klasy robotniczej nowym podatkiem, podatkiem bezpośrednio spadającym na robotników.

„Podatek ten—97 r. rocznie wydaje się nieznacznym lecz jest on ciężkim z chwilą, gdy spada na głodowe zarobki". Obciąży on wprost budżet domowy robotnika. Niedość tego projekt Senatu wkłada na pracodawców obowiązek pobierania tego podatku, ilu nadużyciom, ilu sporom i zatargom da to początek. A kto będzie miał prawo korzystać, z tak osiągniętego ubezpieczenia? Senat określił wiek posiadających prawa do korzystania na lat 65. I drugi kapitalny zarzut. Śmiertelność wśród klasy robotniczej, znajdującej się w warunkach o wiele cięższych i gorszych od innych klas społecznych, jest bardzo znaczną. Na 11 miljonów płacących wkłady 867,000 będzie z czasem korzystać z niedostatecznej zapomogi.

Z gryzącą ironją w polemice przedzjazdowej rzucone zostało słowo: „Ubezpieczenie dla umarłych". Nareszcie zasada kapitalizacji, którą wprowadza projekt. Daje on kolosalne sumy do rozporządzenia rządu burżuazyjnego, sumy te umieszczone w przedsiębiorstwach dadzą nowe korzyści klasom posiadającym, dadzą im nowy sposób wyzyskiwania klasy robotniczej. „Gdy Wy, mówi obywatel André, parlamentarjusze staniecie w Maju przed ciałem wyborczem i przedstawicie reformę, być może, osiągniecie pewne korzyści, ale zważcie na jutro, gdy pierwszym skutkiem tej reformy będzie płacenie podatku, robotnicy zwrócą się wtedy przeciw Wam!"

Oto! jest projekt, za którym chcecie głosować, mówią przeciwnicy. Projekt zły, ale głosować za złym projektem pod pozorem, że kryje on w sobie coś dobrego—to jest Wasza metoda—metoda reformizmu. Uchroniliśmy się od ministerjalizmu—wpadamy w etatyzm. Projekt ten, proponował Fancotte, należy odrzucić, przyjąwszy zasadę ubezpieczenia.

A przedewszystkiem nie należy lekceważyć głosu Konfederacji Pracy, podnosił Luquet. Nie licząc się z głosem Konfederacji Pracy partja stanie się partją ściśle polityczną, lecz nie będzie miała prawa do przedstawicielstwa klasy robotniczej. Cały szereg mówców, z których przedewszystkiem trzeba podkreślić przemówienia Sembali i Jaurés'a, wystąpił w obronie stanowiska zwolenników głosowania za projektem.

Projekt jest zły, ma cały szereg wad poważnych, wskazywali oni, ale przedewszystkiem nadajecie im fałszywe rozmiary, a następnie jest on ważnem zapoczątkowaniem. Robotnicy pragną ubezpieczenia państwowego, przez lat 20 prowadziliśmy za nim agitację, przez 20 lat walczyliśmy on dziś każecie go nam odrzucić. Proletarjat może rozpostrzedz kontrolę nad kapitałem: mówi Jaurés, mogą one być obrucone na potrzeby departamentów i gmin, na prace, które obchodzą i dotykają klasę robotniczą. A zresztą wszak każde prawo ulega zmianie Anglja, Niemcy, Austrja wskazują, że projekt francuski, nie jest ani gorszy, ani nieużyteczny dla klasy robotniczej. Zmieniać się on będzie, stawszy się prawem zależnie od sił proletarjatu. Ściąga ono 90 miljonów od pracodawców, które inaczej trudno byłoby wydostać, państwo wkłada 120 miljonów. Z tych pieniędzy większa część pochodzi z bogatych spadków—więc zaznacza ironicznie, „jest to ubezpieczenie przez martwych, nie dla martwych". Następnie zastanawia się Jaurés nad stosunkiem do syndykatów.

„Mówiono nam, że partja winna jedynie przyjmować postanowienia syndykatów, tyczące się ich wewnętrznego życia. Tak! lecz my nigdy nie chcieliśmy stanowiska Partji podporządkować stanowisku Konfederacji, tak zresztą, jak nie sądziliśmy nigdy, by Konfederacja Pracy chciała podporządkować się partji socjalistycznej. Głosiliśmy niezbędność względnej niezależności obu organizacji, ugruntowanej na poważaniu, jakie mamy dla tych dwuch wielkich sił; są one obie zarysem potężnej organizacji społeczeństwa kollektywnego". Głosowano nad dwoma wnioskami:

Wnioskiem Vaillaut'a, który mówi, że jakkolwiek projekt ubezpieczenia posiada cały szereg braków, biorąc jednak pod uwagę, że uświęca on zasadę prawa do bytu, Zjazd „poleca wybranym partji głosować za wnioskiem w parlamencie, poprzedzając swe głosowanie złożeniem deklaracji, w której wyrażone będą zastrzeżenia, jak również poleca im podjęcie energicznej propagandy w kraju w celu ulepszenia tego prawa".

Wniosek wygłoszony przez Luquet'a brzmiał:

„Zjazd jeszcze raz stwierdza życzenie partji socjalistycznej jak najszybszego zrealizowania ubezpieczenia na starość, które mogłoby zadowolić proletarjat.

Uważając, że prawo, które wyszło z oświadczenia Senatu nie jest reformą, lecz spekulacją burżuazyjną, namaskowaną pozorami prawa o ubezpieczaniu na starość.

Biorąc pod uwagę stanowisko Konfederacji Pracy, odrzuca projekt głosowany przez Senat, jako niebezpieczny i niewystarczający".

Wniosek Vaillant'a otrzymał większość 193, wniosek Luquet'a mniejszość—155 głosów.

Na porządku dziennym pozostało kilka kwestji, z których sprawę rolną, ze względu na brak czasu odłożono do przyszłego Zjazdu. W sprawie batajonów dyscyplinarnych Zjazd uchwalił przez akkamację użycie wszelkich środków w celu zniesienia tej instytucji. Ze spraw ważniejszych pozostała jeszcze spra-

wa przyszłych wyborów. Po krótkiej dyskusji Zjazd uchwalił wniosek w sprawie taktyki wyborczej. Wskazuje on na to, że walka proletarjatu ściśle jest związana z rozwojem swobód politycznych i ekonomicznych i że wyzwolenie klasy robotniczej zależnem będzie od samych robotników, jeżeli będą oni umieli przy pomocy swej organizacji i dla swego wyzwolenia swobody powyższe wyzyskać. Partja występować będzie nie jako sojusznik czyjśkolwiek, lecz jak partja klasy robotniczej i rewolucji. Pomiędzy postulatami wysuniętą została reforma wyborcza, w sensie wyborów proporcjonalnych. Na zakończenie uchwalono jednogłośnie wniosek, wyrażenia sympatji dla Guesd'a, który jest obecnie chory i dla Bebla z powodu jego 70-letniej rocznicy.

POLITYKA DYPLOMATYCZNA ROSJI.

Żyjemy teraz w okresie, który snadnie historycy minorum gentium nazwać mogą okresem „gwałtownych poszukiwań sojuszników". A dotyczy to specjalnie Rosji z ostatnich pięciu lat, Rosji, po wojnie z Japonją, odosobnionej, zwyciężonej i gojącej swe niezliczone rany i wrzody wewnętrzne. Do 1903 r. Rosja znajdowała się w bliższych stosunkach jedynie z Francją. Olbrzym północny poczytywał to dla siebie za zupełnie dostateczne i wystarczające. Lecz wszystkie wyliczenia i przewidywania, jak to dobrze jeszcze pamiętamy, omyliły, i oto teraz Rosja postanowiła zmienić politykę dumnego odosobnienia, zawrzeć cały szereg nowych sojuszów, nowych przyjaznych stosunków a nawet wyzyskać wypadkowo pomyślnie się dlań składające status quo, by tem pewniej stanąć na niezbyt pewnych nogach.

Pierwszą po wojnie była Anglja. Rozgraniczono sfery wpływu w Persji i Afganistanie, zawiązano bliższe stosunki nietylko już państwowe, ale i narodowe. Zrozumiano, iż Anglja przydać się może nietylko w razie wojny z jakiemkolwiekbądź państwem, ale przynieść jest zdolną nieobliczalne wprost korzyści w sferze stosunków handlowych i przemysłowych. Pożądaną bowiem jest nietylko jej lojalność w czasie wojny, ale i aktywność pieniężna. Osiągnięto w rokowaniach pomyślny wynik — i oto p. Izwolskij spoczął na laurach dyplomatycznych.

Lecz po upływie krótkiego czasu znów się zakotłowało w „państwie duńskiem". Aneksja Bośni i Hercegowiny, wojowniczość Serbji i innych liliputów bałkańskich, naprężone wyczekiwanie z nabitym karabinem w ręce Austrji, niepokój całego świata i — bezradność i bezsilność Rosji znów dowolnie wykazały, iż Rosja tylko na samą siebie liczyć nie może, że przy współczesnych warunkach prowadzenia wojny, przy swem wewnętrznem i zewnętrznem osłabieniu, nie może poprowadzić energiczniejszej akcji, nie może zakrzyknąć, jak dawniej sic volo — sic jubeo, nie może uzbrojoną dłonią dopominać się swych praw i przywilejów. Ze wstydem, z upokorzeniem musiała się zgodzić na wszystkie żądania Austrji, zmuszoną była tem samem po raz wtóry uzewnętrznić brak wszelkiej inicjatywy twórczej, swą niemoc fizyczną i duchową.

Cała opozycyjna prasa rosyjska uderzyła w dzwon opinji publicznej, uderzyła na trwogę, na upamiętanie się. Wyraźnie i stanowczo zażądano zmiany polityki, porzucenia nieuzasadnionego odosobnienia, jeszcze raz wykazano, iż Rosji niezbędną jest wolność. Wypadkowo i ministerjum spraw zagranicznych doszło do tego samego przekonania i postanowiło wykorzystać sytuację na swoją, co prawda dość jeszcze problematyczną, korzyść. Wzmożenie się Austrji nie było na rękę większości państw europejskich, a specjalnie tym, które zainteresowane były w utrzymaniu status quo ante na Bałkanach. Do tych w pierwszym rzędzie należały Włochy, już od kilku lat stale zagrażane inwazją austrjacką, i oto jesteśmy świadkami wizyty w Racconigi, świadkami zawiązania bliższych przyjacielskich stosunków między Rosją a Włochami.

Zdawało się, iż kwestja Blizkiego Wschodu jest już załatwioną. Było to na rękę Rosji, tem bardziej, iż na jaśnię życia wysunęła się po raz wtóry kwestja Dalekiego Wschodu. Zaczęły krążyć bardzo poważne pogłoski o nowej, blizkiej wojnie z Japonją, o zbrojeniu się wogóle żółtej rasy, o agresywnej polityce Chin. Gdyby te pogłoski miały istotnie znaleźć swe urzeczywistnienie, powtórzyły by się znów Cuszimy i Laojany. Rosja do wojny przygotowaną nie jest i nawet w *dalszej* przyszłości prowadzić wojny nie będzie w stanie. Zaczęto usilnie łatać dziury, prowadzić nowe petraktacje z Japonją. A tymczasowo zaczęto znów z gorączkową wytrwałością poszukiwać sojuszników.

Ze wszystkich państw Starego i Nowego Świata w sprawach Dalekiego Wschodu zainteresowane są jedynie Anglja i Ameryka. Anglja zawarła przed kilku laty sojusz z Japonją. Zostaje się więc tylko jedna Ameryka, która istotnie niechętnem okiem spogląda na bezwzględną i despotyczną gospodarkę Japonji w Azji. I oto zaczęto przebąkiwać o projekcie sprzedaży połowy Sachalinu Ameryce. Dla Rosji byłaby to konjuktura nad wyraz ponętna, gdyż w ten sposób Stany Zjednoczone byłyby *terytorjalnie* zmuszone do wzięcia udziału w sprawach rosyjsko-japońskich. Lecz jakoś ten projekt nie doszedł do skutku (może przez wyraźnie okazywane przez Japonję niezadowolenie?). I oto po upływie pewnego czasu Ameryka, z pewnością inspirowana przez jedno z państw europejskich, ogłasza swój projekt neutralizacji kolei mandżurskiej, która by tem samem stała się międzynarodową. Rosja zwlekała przez czas dłuższy z odpowiedzią. Oczekiwała widocznie wieści z Japonji. Ta ostatnia wkrótce energicznie zaoponowała przeciw wmięszaniu się państw w sferę wpływu Rosji i Japonji, bowiem przeczuwała, iż, zgadzając się na propozycję Ameryki, podda całą swą działalność polityczną kontroli i opiece pozostałych państw. Dopiero po takiem dictum acerbum Rosja wysłała do Waszyngtonu swą odmowną odpowiedź, motywując ją wielkiemi kosztami, poniesionemi na budowę tej kolei.

Nie udało się więc Rosji zabezpieczyć żadnego ze swych państwowych „boków". Kwestja jak Blizkiego, tak i Dalekiego Wschodu nie jest pomyślnie załatwioną, pozostaje nadal sporną kwestją, zagrażającą stale spokojowi Rosji. W Azji nie zdołano znaleźć wpływowego i silnego sojusznika. Wszystko tam pozostało tak, jak było do 1905 r. I niema żadnej nadziei, by można było liczyć na jakieś pomyślniejsze zmiany w *naprężonej* sytuacji. Wszystkie usiłowania, zabiegi i wybiegi spełzły na niczem. Pozostawiono więc sprawy ich naturalnemu biegowi i zwrócono znów pilną uwagę na Bałkan.

Ostatnio krążyły uparcie pogłoski o zawarciu przyjaźniejszych stosunków z Austrją. W swych interview'ach bar. Achrenthal dowodził, iż Rosja i Austrja są jakby stworzone dla siebie, i że nie rozumie, dzięki czemu powstała taka niechęć między dwoma temi państwami. W kołach petersburskich zaczęto mówić o jakichś wizytach i odwiedzinach, rozprawiać o warunkach, na których mogłaby być zawarta umowa. Lecz od dwóch jakichś tygodni znów wszystko ucichło, kwestja Bliskiego, jak i Dalekiego Wschodu do dzisiejszego dnia nie została jeszcze rozwiązana, i nadal zagraża spokojnemu bytowaniu państwa rosyjskiego.

Bolesław Rozstański.

ZE ZJAZDU BELGIJSKIEJ PARTJI SOCJALISTYCZNEJ.

Walka słowna rewizjonistów z ortodoksalnymi, ortodoksalnych i rewizjonistów z syndykalistami, ścieranie się anarchizmu z socjalizmem politycznym posiada głęboki podkład filozoficzny. Naukowy socjalizm będący uogolnieniem teoretycznem materjalizmu dziejowego, jako koncepcji filozoficznej, stoi w ścisłej zależności do rozwoju nauk o społeczeństwie. Ogólne prędy filozoficzne, nurtujące dziś wszystkie bez wyjątku nauki, muszą z natury rzeczy przedostać się do naukowego socjalizmu. W ich oświetleniu socjalizm ortodoksalny staje się światopoglądem dogmatycznym, pragmatycznym, rewizjonizm zaś jest racjonalizmem naukowym. Pierwszy zatraca powoli zmysł praktyczny twórców socjalizmu, drudzy zaś w praktyce codziennej zgubili nić prowadzącą do ostatecznego celu.

Naturalną reakcją tego stanu rzeczy jest syndykalizm rewolucyjny, starający się dać syntezę obydwóch kierunków. Materjalizm dziejowy, taki, jakim nam go zostawił Marx, jest jasno sformułowaną hypotezą naukową, opartą na doświadczeniach rzeczywistości społeczeństwa z ustrojem kapitalistycznym. Podobnie jak każda hypoteza naukowa, rości on pretensję być wiernym wyrazicielem realnych stosunków, w miarę tego jak doświadczenie potwierdza jej naukowość t. j. ścisłość obserwacji i rozumowanie. Doświadczenia wysnute z obserwacji kapitalizmu, powierdzają w najogólniejszych rysach hypotezę Marxa, nie pozwalają jednak w żadnym razie uważać jej za prawdę absolutną, której podporządkować należy z góry wszystkie możliwe zjawiska społeczne przyszłości. Doświadczenie uczy nas, iż hypoteza Marxa zgodna z ogólnym procesem rozwoju społeczeństwa wymaga wielkiej ostrożności, kiedy chodzi o stosowanie jej w każdym poszczególnym wypadku. Ortodoksalni marxiści czynią z hypotezy Marxa pewnik matematyczny, służący im za punkt wyjścia dla ich dalekoidących dedukcji, nic więc dziwnego, iż w ten sposób wysnute ustosunkowanie zjawisk nie odpowiada rzeczywistości. Metodą Marxsa, analityczną, naukową, która stworzyła „Kapitał” rzadko się dziś socjaliści posługują. Jedni przyjmują za prawdę gotowe kanony i budują na nich gmachy fantastyczne, drudzy odrzucają kanony zupełnie, ale miast obserwacji ścisłej i głębokiej, dają nam najczęściej słabe i powierzchowne doświadczenie osobiste. Tem się tłomaczy, iż ilekroć partje socjalistyczne przeżywają jaki spór zasadniczy, ideowy z podkładem filozoficznym — tylekroć jesteśmy świadkami długich i jałowych sporów, które jakoś nigdy skończyć się nie mogą, a to dlatego, iż przeciwnicy różnią się w swym światopoglądzie filozoficznym i gdy jedni ciągną do sasa, drudzy do lasa. Gdy jedni tkwią jeszcze w dogmatyzmie metafizycznym ewolucjonizmu jako fatalizmu dziejowego „rzeczy w sobie“, drudzy z materjalizmu dziejowego wyrzucili zmysł jedności, stawszy się—idealistami. I dlatego mimo iż jednym posługując się językiem, mimo, iż do jednego zmierzają celu, zrozumieć się nie mogą.

Jedną z takich kwestji zasadniczych jest udział ministrów socjalistycznych w rządzie burżuazyjnym. Wszędzie gdzie kwestja ta oddaną została do rozpatrzenia ogółowi partji, wywołała ona zróżniczkowanie się obozu socjalistycznego tem, iż jedni są przeciwnikami absolutnemi brania udziału w rządach, drudzy są tego sympatykami bez zastrzeżeń. Z czasem powstaje kierunek trzeci, pośredni, który robiąc ustępstwa jednej i drugiej stronie trzyma się drogi „złotego środka“.

Podobnie sprawa się ma i w Belgji, gdzie, jak to przedstawiłem w numerze 52 Społeczeństwa, partja socjalistyczna wobec zagadnienia ministerjalizmu podzieliła się na trzy kierunki. Jeden t. zw. radykalny, o tyle chyba, że radykalnie odmawia pomocy rządowi burżuazyjnemu w jakiejkolwiek formie, drugi oportunistyczny, gotowy popierać rząd liberalny w celu pozyskania go dla reform demokratycztych, i centrowy, zgadzający się popierać rząd liberalno-radykalny o ile ten zobowiąże się przeprowadzić szerokie refomy socjalne i tylko w miarę, jak te reformy zostaną urzeczywistnione. Rozłam wyższej instancji partyjnej udzielił się całej partji, tak dalece, iż wyjście z tej przykrej sytuacji możliwem było tylko przez zwołanie specjalnego zjazdu partyjnego, któryby wytknął drogę postępowania na przyszłość. I oto zjazd ten odbył się w Brukselli 6/7 lutego, a wzięło w nim udział około 600 delegatów. Trzeba tu zaraz zaznaczyć, iż zjazd sprawy nie roztrzygnął ani w sensie radykalnym, ani oportunistycznym, lecz odkładając do czasu odpowiedniego, zostawił sobie opatrznościową furtkę.

Zjazd ten nazwać można śmiało zjazdem intelektualistów, nie dla tego, aby intelektualiści brali w nim udział w znacznej ilości, ale dlatego, iż mówcami byli wyłącznie ludzie, oddający się profesji intelektualnej. Taki porządek rzeczy musiał się odbić na biegu dyskusji, która obracała się wciąż w krainie abstrakcji choć dotyczyła rzeczy realnych. Szczególnie przedstawiciele kierunku radykalnego t. j. radykalnej abstynencji, przywiązywali większe znaczenie do wyrazu, niż do treści. Jedynie parlamentarzyści wprowadzali do dyskusji trochę życia, dzięki temu, iż posiadają pewną przynajmniej dozę doświadczenia osobistego. Przemawiali wciąż ci sami ludzie, tak że dyskusja nie dała wiele nowych argumentów, ani pro, ani contra. Wniosek oportunistyczny Bertranda został cofnięty, a jego wnioskodawcy przyłączyli się do wniosku centrowego Vanderveldego i całej grupy socjalistycznej w parlamencie. Tak, iż faktycznie ścierały się dwa przeciwne sobie wnioski: abstynencki, broniony przez De Brouckera i przychylny dla udziału w rządach — broniony przez deputowanych socjalistycznych. Vandervelde, motywując swój wniosek zarzucał przeciwnikom nieufność, tę największą chorobę ubiegłego stulecia, która zawsze i wszędzie bała się wykolejenia ruchu socjalistycznego i dlatego ustawicznie starająca się wyraźnemi uchwałami kongresów zabezpieczyć jego przyszłość, składając opiekę nad nim w ręce miarodajne. Vandervelde zresztą uważa kwestje ministerjalizmu za taktyczną, a nie zasadniczą, programową i gdyby dziś wniosek abstynentów został przyjęty nie usunęłoby to kwestji, którą nasuwa życie, i w blizkiej przyszłości inny zjazd musiałby po raz drugi kwestję tę przedyskutować. Vandervelde zatrzymuje się dłuższy czas nad skutkami polityki zalecanej przez radykalistów. Negatywne stanowisko socjalistów musi sprowadzić porozumienie partji burżuazyjnych co De Boucker nazywa „conjonction des centres”, ale właśnie praktyka pokazała, iż zawsze ilekroć przeciwko proletarjatowi wytworzyło się połączenie centrów burżuazji, proletarjat został pobity. W 1871 roku połączenie burżuazji dało komunę w Belgji, w 1902 r. połączenie centrów dało porażkę proletarjatowi. W 1907 roku, w Niemczech, proletarjat pobity został przy wyborach przez zjednoczone centry burżuazji. W interesie proletarjatu leży więc, aby burżuazja była podzielona. W Kapitale Marx, opisując największą zdobycz proletarjatu lat czterdziestych t. j. 10 godzinny dzień roboczy, przypisuje zdobycz tę podziałowi burżuazji. Abstynenci zaś pchają wrogie sobie obozy burżuazji do zgody i porozumienia. Cóż więc wybierać: sojusz z liberałami, na platformie z góry określonej, czy „conjonction de centres“, prowadzące do porażki? Odpowiedź może być tylko jedna. Wniosek De Brouckera, konsenkwetnie stosowany, wykluczałby udział

socjalistów w Radach komunalnych i prowincjonalnych byłby więc w sprzeczności z całą dotychczasową polityką socjalną w municypalnościach t. j. tam, gdzie socjalizmowi udało się doprawdy już teraz przeprowadzić cały szereg reform demokratycznych. Zdaniem Vanderveldego nie należy z góry przesądzać sprawy ministerjalizmu, ale każdorazowo stosować należy się do warunków. I tak naprz. w Anglji, kiedy kwestja budżetu stała się powodem zatargu między lordami i posłami i niejako zachwiała byt izby lordów, byłoby rzeczą wprost niepojętą, gdyby się znalazł socjalista, któryby w imię doktrnyny nie pozwalającej mu głosować za budżetem ministerjum burżuazyjnego, przyczynił się do upadku partji liberalnej i tem samem ocalił istnienie izby lordów. Są więc sytuacje, wymagające od socjalistów poparcia rzędów burżuazyjnych, demokratycznych, szczególnie w wypadkach, kiedy chodzi o postęp socjalny całego kraju. Stanowisko zajęte przez De Brouckera kończy się logicznie w antyparlamentyzmie, który nie rozstrzyga kwestji udziału ministrów socjalistycznych w gabinecie burżuazyjnym, ale ją uchyla, a nie o to wszak chodzi.

Wnioskodawca zaś De Broucker całą swą argumentację oparł nie na praktyce socjalizmu i przykładach rozwoju politycznego społeczeństw nowożytnych ale na doktrynie socjalistycznej i na bojowem, rewolucyjnem usposobieniu proletarjatu.

Twierdził on, iż ten duch rewolucyjny był inspiratorem socjalizmu i twórcą jego zwycięztw, że w miarę jak duch ten ustępuje w partji miejsca kompromisom, reformy tracą na znaczeniu. Duch rewolucyjny proletarjatu występuje zawsze w parze z uczuciem niezależności.

Podobnie jak kooperatywy i związki zawodowe zabezpieczone muszą być od napływu burżuazji, tak samo w parlamencie współżycie jest niemożliwe. Wnioskodawca zastanawia się wobec tego, czy słusznem jest wogóle, aby istniała grupa polityczna w parlamencie, która reprezentować ma nie wyborców, ale socjalistów. Sytuacja taka wywołuje reakcję ze strony syndykalizmu anarchicznego. Zdaniem radykalistów należy zaprzestać popierania „lepszej" partji burżuazyjnej, bo wszystkie one są wrogie socjalistom.

W Anglji taktyka ta zbankrutowała i dziś klasa robocza wybiera własnych przedstawicieli, aby ci bronili jej interesów. Popieraniem ministrów trzyma się robotników na uwięzi i tem samem usuwa widmo rewolucji, niezbędne do zrealizowania prawdziwych reform demokratycznych. De Broucker przekłada bloki liberałów z konserwatystami nad bloki socjalistów z liberałami, gdyż pierwsze jest i tak nieuniknione w dalszym rozwoju socjalnym ustroju kapitalistycznego, drugie zaś czynią zawsze proletarjat uzależnionym od akcji partji liberalnej. Niektórzy z mówców kierunku radykalnego odrzucają otwarcie akcję parlamentarną. Wszyscy oni zgadzają się co do tego, że niezależność polityczna partji, oraz abstynencja w rządzie burżuazyjnym, są jedyną gwarancją tego, iż proletarjat nie zboczy z wytkniętej drogi i nie wejdzie na manowce polityki liberalnej.

Jeszcze raz deputowany Anseele, twórca kooperacji gandowskiej, poddał surowej krytyce doktrynę De Brouckera. Podstawą socjalizmu i gwarancją jego przyszłości, zdaniem jego, jest nie tyle duch rewolucyjny, ile organizacje ekonomiczne i polityczne proletarjatu. Blankizm rewolucyjny w każdej formie dawno przeżył już czas swój i duch jego próżno kołacze się jeszcze tu i owdzie w zacofanych szeregach robotniczych.

Przyszłość socjalizmu spoczywa na drodze ciągłych codziennych reform socjalnych, wydzieranych burżuazji przy pomocy walki ustawicznej, codziennej, prowadzone jprzez wszystkie organizacje proletarjatu, uciekających się czasami do uderzenia pięści, jeżeli to jest nieuniknionem. Proletarjat nie powinien kierować się polityką nieufności do siebie i we własne siły. Gdyby tak być miało, gdyby były powody do obawiania się, iż proletarjat za słaby jest, aby sprostać zadaniu historycznemu, wówczas nic nie pomogą jego opiekunowie, przy najlepszych nawet uchwałach i gwarancjach. Doświadczenie ruchu socjalistycznego jest dowodem, iż trwogi i obawy niektórych ideologów socjalistycznych są wyrazem ich osobistej niepewności co do przyszłości socjalizmu. Proletarjat uzbrojony w własne doświadczenie, kierowany ideą wyzwolenia, nie ma powodu do obawiania się sojuszów z liberałami. Przeciwnie, liberałowie tracą zaufanie do swych przywódców z chwilą, kiedy ci wchodzą w kompromisy z socjalistami, gdyż najlepszą rękojmią panowania dla burżuazji jest walka na śmierć z socjalizmem.

Gdybyśmy teraz chcieli wyciągnąć z całej tej dyskusji jaki wniosek pożytywny — bylibyśmy w wielkim kłopocie. Niezaprzeczenie obydwie strony mają w niektórych punktach rację i jedni i drudzy przesadzają znaczenie postulatów, które służą za podstawę ich rozumowania. Jednakże uznać trzeba, iż radykaliści we wnioskach swych nie przekroczyli jeszcze doświadczenia socjalizmu spiskowego. Wprost zadziwiająca jest ich łatwość uogólniania. Negatywne swe stanowisko do burżuazji, przenoszą na wszystke partje burżuazyjne. Negatywne stanowisko względem budżetu danego państwa w danym momencie uogólniają oni do każdego budzetu i każdego państwa burżuazyjnego, jak to czynią anarchiści, którzy wraz z negacją państwa burżuazyjnego odrzucają państwo wogóle.

Kierunek oportunistyczny zaś jest może zanadto optymistycznym. W każdym razie akcja ministerjalna jeżeli ma być skuteczną, wymagać będzie coraz potężniejszego skupienia organizacji ekonomicznych i politycznych proletarjatu, gdyż dopiero od siły ich napięcia zależeć będzie wpływ i znaczenie ministrów socjalistów, Będą oni mandatarjuszami partji, podobnie jak dziś są niemi deputowani, radcy municypalni etc. Skoro cel socjalizmu jest jasny, skoro organizacje robotnicze w ciągu dwudziestopięciolecia wzmogły się na sile, czegóż ruch polityczny proletarjatu ma się obawiać od udziału w rządzie kilku swych mandatarjuszów? Ministrowie socjalistyczni w obecnej praktyce parlamentarnej będą najlepszą gwarancją, iż prawo pisane przestanie być po największej części martwą literą o ile dotyczy drobrobytu klasy pracującej.

Cała ćwierć wiekowa akcja parlamentarna świadomego proletarjatu byłaby wprost niezrozumiałą, gdyby dziś klasa robotnicza dobrowolnie wyrzekła się rękojmi zwycięztwa parlamentarnego, do którego zmierzała przez cały czas Z drugiej strony udział socjalistów w rządzie skutecznym być dopiero może, o ile partja będzie dość silna w kraju, aby poddać surowej kontroli akcję swych mandatarjuszów gabinetowych, jako też ogólny kierunek polityczny grupy parlamentarnej. W przeciwnym razie doprawdy proletarjat stałby się łupem zręcznych żonglerów. O ile nie wolno proletarjatowi zwątpić w swoje siły, o tyle pojedyńczym ludziom nigdy ponad siły jednoski ufać nie należy.

Zjazd przyjął wniosek centrowy grupy parlamentarnej 202 głosami przeciwko 77, podanych za wnioskiem abstynenckim.

Stanowisko zjazdu odbiło się natychmiast na orjentacji politycznej w łonie najwyższej instancji partyjnej.

Widząc się w mniejszości, De Broucker zrzekł się prowadzenia centralnego organu partji, tłumacząc to tem, iż nie może bronić polityki partyjnej, której jest osobistym przeciwnikiem.

Dalsze debaty jaskrawiej jeszcze niż ministerjalizm ujawniły jak dalece duch antyparlamentarny jest zakorzeniony w niektórych organizacjach socjalistycz-

nych w Belgji. Sprawozdanie parlamentarne wywołało gorącą dyskusję i deputowani mieli dość trudne zadanie oczyszczenia się z wielu zresztą słusznych zarzutów. Szczególnie zarzucano niektórym deputowanym lekceważenie swych obowiązków parlamentarnych, nieobecność podczas głosowania ważnych wniosków, łagodność w przemówieniach, skierowanych przeciw burżuazji, oszczędzanie przeciwnika i t. d.

St. L.

O KRYTYCE LITERACKIEJ.

(KILKA UOGÓLNIEŃ)

„Śmieszna polska nędzo".
(J. Katerla „Róża").

I.

Dziwne zaiste myśli przychodzą do głowy, kiedy się w rękę weźmie parę krytyk literackich w dzisiejszych organach, poświęconych literaturze i sztuce. Dziwnie smutny wygląd ma współczesna krytyka literacka w Polsce. Gdzie niegdzie tylko zrzadka ujrzeć można myśl jakąś, pewne określone stanowisko, próbę pogłębienia. Rzadkie te próby toną w powodzi nadmiernej krytyk, pisanych niewiadomo po co i niewiadomo dlaczego. Nic tu nie obowiązuje, nic nie określa. Próżno szukać stanowiska jakiegoś, próby określonego filozoficznego światopoglądu: frazes—gest—słowo panuje wszechwładnie czuje się aż nadzbyt jasno, że słowa te wszystkie nie są po to, by były wyrazicielami treści pewnej, by wprowadzały w łańcuch myślowych dociekań, mniej lub więcej konsekwentnych wywodów. Nic tu nie znamionuje czynu, nic określonego stosunku do życia i twórczości.

Kiedy się nie ma nic istotnego do powiedzenia—nie można przyjmować odpowiedzialności za to, co się mówi. Wynajduje się gotową formułę, która ma pokryć cały brak określoności, całą niemoc własnego stanowiska (a właściwie braku jego) i niejako uprawnić, usankcjonować brak tej określoności i krytycyzmu. Słowa są cierpliwe. „Słowa są jak prostytutki" powiedział ktoś „służą każdemu tanio do wszystkiego". I oto bierze się słowo: impressjonizm. I drugie: indywidualizm. Każdy—gdzieś—słyszał coś o Tainie i jego estetycznej teorji. Weźmy i Taine'a z tego konglomeratu, podlanego sosem subjektywizmu, powstaje niezwykle błyszcząca, niezwykle ułudna i niezwykle wygodna tarcza dla całego szeregu naszych przelatywań, zachwytów, potępień i „krytyk".

Estetyczna teorja Taine'a w rozumieniu Anatola France'a, importowana na nasz grunt przyjęła się bajecznie. Nam właśnie tego trzeba było. I brzmi to pięknie i do niczego nie obowiązuje. Można tu zawsze wyładować cały szereg entuzjastycznych zachwytów, „genialnych spostrzeżeń" i osobistych wrażeń.

„Z powodu tej a tej książki" mówi Anatol France „opowiem państwu o sobie".

Wtedy, kiedy „opowiada o sobie" taki Anatol France, pisarz niezmiernie subtelny, o szerokim kulturalnym geście, władający słowem jak mistrz, który ma zalety wszelkie starej kultury zachodniej, można mu przebaczyć brak pogłębienia i nadwyczajną zdolność prześlizgiwania się ponad rzeczą, lub koło rzeczy, wtedy, gdy właśnie naskutek tej zręczności niezwykłej, wszystkim się wkoło (a i jemu samemu często) wydaje, że przeszedł przez coś, że przetrawił je w sobie, że przetworzył. Ma się tu doczynienia z finezją niezwykłą, z dużym kunsztem słowa. Trzeba pamiętać, że nawet „la plus belle fille du monde ne peut donner que ce qu'elle a". Byłoby śmiesznem żądać dzisiaj od Anatola France'a jakiegoś bezwzględnie szczerego, twórczego, określonego stanowiska wobec życia. Tego on nie posiada, bo posiadać nie może. A. France nie wierzy w nic: dzisiaj pisze dwutomowe ogromnej pracy dzieło „Jeanne D'Arc" jutro „L'ile des Pingoins". Wszystko się tem tłomaczy. Słusznie ktoś powiedział o Anatolu France, że spaceruje on przez wieki z monoklem w oku. Czyni on to jednak tak ładnie, że nie można się nań za to gniewać. I dlatego ciekawem bywa zawsze opowiadanie Anatola France'a o sobie.

Kiedy jednak takie stanowisko przeniesiemy na nasz grunt rodzinny, ukazują się wtedy wszystkie jego wady, giną wszystkie zalety. Trzeba być Anatolem France, żeby tak fruwać z kwiatka na kwiatek, prześlizgiwać się koło wszystkich rzeczy poważnych tak, żeby się wszystkim jak w starej sztuczce z pieniądzem zdawało, że moneta przez stół przeszła, a nie przestać być zajmującym, nie zatracić swego artyzmu.

U nas Anatola France'a niema. Jest za to cały legion pour ainsi dire—France'ujących—świadomie lub nieświadomie. Wślizgują się oni we wszelkie dziedziny umysłowego życia, wszędzie chcą i swoje słowo powiedzieć, są jednak bezporównania mniej niebezpieczni od Anatola France'a, bo nie mają jego talentu, jego kultury, jego słowa. W nich skupiają się jak w soczewce wszystkie wady tego rodzaju pojmowania swoich zadań, z bezwstydną nagością występuje na jaw cała ich umysłowa, nawet uczuciowa impotencja.

Współczesna krytyka literacka w polsce tak jest zachwaszczona tego rodzaju przejawami, że ręce opadają ze znużenia, gdy się chce we wszystkiem tem doszukać jednej bodaj myśli, jednego świadomego aktu woli. Wykazywać na każdym kroku szkodliwość i złudę takich stanowisk, podkreślać na każdym kroku ich przejawy jest obowiązkiem każdego, kto chce włączyć i swoją cząstkę „woli tworzącej" do ogólnego kulturalnego dorobku.

II.

Typowym przejawem tej umysłowej motylkowatości; tego poczucia absolutnej niezależności od jakichkolwiek praw, rządzących myślą krytyczną, tego braku jakiegokolwiek określonego stanowiska—jest mała „krytyka" R. Minkiewicza „Róży" J. Katerli[1]) przykład drobny, a z całą jaskrawością maluje to, co się dziś u nas—niestety—na każdym kroku spotyka, przeciwko czemu nigdy dość powstawać nie można.

Kiedy się bierze do ręki krytykę p. Minkiewicza i przeczyta uważnie, włosy powstają na głowie z przerażenia. Miły Boże—wiele słów, jakie słowa. I mimowoli powstaje w myśli dalekie, bardzo dalekie porównanie. Przychodzi mi na myśl człowiek, który jest jednym z najgłębszych, najbardziej ciekawych myślicieli współczesnych: Henri Bergson, autor (Evolution créatrice", „Matiere et mémoire". On, który na każdym kroku słowo każde waży, na każdej stronicy, w słowie każdem się załamuje. Który nie może dać dość przykładów dla jasnego, dokładnego oddania każdej myśli swojej. Przypomina mi się drugi pisarz współczesny Jerzy Sorel, twórca syndykalizmu francuzkiego, autor niezmiernie ciekawej książki p. t. „Les illusions du progrés". I podziw mię bierze, głęboki podziw dla p. Minkiewicza, kiedy potem myślą do jego krytyki wracam. Jak tu lekko płyną słowa. „Ach jakże lekko tańczysz pan"! Tylko—tylko, że trudno jest tu po za słowem ujrzeć treść. A może wcale o to nie chodzi? Boć to przecie nie studjum

[1]) Rom. Minkiewicz: Dramat duszy polskiej („Róża" Józefa Katerli w „Krytyce" sierpień-wrzesień 1909 r.

filozoficzne, tylko krytyka literacka. O to właśnie chodzi—nie może być racjonalnej krytyki literackiej innej, jak opartej, wypływającej z określonego filozoficznego stanowiska. Wszystko inne prowadzi do tego właśnie. „to się mści"—jak mówi Przybyszewski.

Nie chciałbym, żeby mię źle zrozumiano. Nie propaguję tu bynajmniej trudnego, ciężkiego chwilami języka Bergsona, bezsprzecznego chaosu pism Lorela porównanie nasunęło mi się jedynie przez kontrast. I myślę, że gdyby pan Minkiewicz miał choć odrobinę tego poczucia *odpowiedzialności*, które wieje z każdej stronicy pism tych myślicieli, możeby uważniej patrzał na to co napisane, możeby wielu napisanych słów nie było. Dziś co? stało się tak, że przy najlepszej chęci nie można zrozumieć o co właściwie p. Minkiewiczowi w krytyce tej chodziło. Widzi się, że jest tam zachwyt bezgraniczny, (t. j. przepraszam, graniczny! na końcu jest „uwaga". O tem po tem) tu i owdzie zdaje się nawet pojmować co wprawia p. Minkiewicza w ten zachwyt, widać jak czuje na sobie dłoń dziejowego bohaterstwa, *czemu* się to jednak właśnie tak dzieje, *gdzie* leży *konieczność* tego rodzaju zachwytu, jakie jest jej źródło, jaka psychologiczna geneza—próżnobyś tego u p. Minkiewicza szukał.

W najciekawszych miejscach odsyła nas do... Dajmoniona, posługując się nim jak biurem wywiadowczem, podczas gdy my chcielibyśmy od p. Minkiewicza czegoś się dowiedzieć. I mamy do tego prawo niezaprzeczalne. Mam tę śmiałość założenia a priori, że jeżeli się z czemś występuje, to znaczy, że się ma coś do powiedzenia. Nawet najdłuższy szereg wykrzykników nic jeszcze nie mówi, niczego nie określa.

I tu dochodzimy do rzeczy wielce znamiennej. Już Stanisław Brzozowski wielokrotnie zwracał uwagę na ten ciekawy objaw współczesnej umysłowości polskiej. Nic nie obowiązuje w takim stopniu do niczego u nas—jak zachwyt. Podoba mi się rzecz pewna--zdawałoby się, że właśnie dlatego należy wejść głębiej, w przyczynę tego mojego stosunku do tej rzeczy. Wykazać całą jej treść, całą istotę. U nas dzieje się wprost przeciwnie. Rzecz zostaje uznana z góry za arcydzieło: to uwalnia od wszelakiej głębszej myśli krytycznej. Odwieczna historja z wiarą, wykluczającą krytycyzm. Tylko że krytyk literacki z powołania, krytyk szczery nia może, nie powinien mieć wiary tego rodzaju. Serce trzeba tu mieć w mózgu—nie naodwrót.

Nie chcę wchodzić w meritum krytyki p. Minkiewicza. Różnimy się z nim całkowicie na punkcie stosunku do życia, pojmowania pewnych niezaprzeczalnych istności[1]). Ale o to nie chodzi. Każde stanowisko jest słuszne, o ile jest odpowiednio uzasadnione, każde ma rację bytu, o ile jest *uzasadnianem*, o ile jest stanowiskiem. U p. Minkiewicza niema śladu jakiegokolwiek stanowiska. Jest zachwyt bezkrytyczny, ani śladu próby pogłębienia. Na każdym kroku znać rozpaczliwy brak metody, automatyczne podstawianie słów tam, gdzie powinno być miejsce myśli o ten brak metody głównie mi dzisiaj chodzi. Bo tu właśnie należy szukać źródła wszystkich nieszczęść myślowych p. Minkiewicza i jemu podobnych.

Dałbym konia z rzędem temu, ktoby opowiedział „swojemi słowami" treść artykułu p. Minkiewicza. Jest to niemożliwe dlatego chociażby, że tam treści—niema. Jest cała moc wszelakich słów, ani jednej myśli—przeraźliwą pustką i nagością świecą tu te słowa puste. Pan Minkiewicz nie ma nawet tego artystycznego taktu, który zabrania umieszczania w poetyckim recitalu (takim ma być pewno według p. Minkiewicza własny artykuł krytyczny) polemiczno-dziennikarskich wycieczek. Nie oszczędził sobie i nam nawet tego. Na str. 111 czytamy odnośnik, który zdumiewa, razi w artykule, w takim „parnassowskim" tonie trzymanym. Który przenosi nas żywcem w niezbyt dawne spory konkurencyjnych kramików.

To zresztą nie jest ważne. Swiadczy to tylko o braku artystycznego wyczucia i taktu artystycznego u p. Minkiewicza. O to zaś nam nie chodzi. Wogóle o p. Minkiewicza nam nie chodzi. Jeżeli poruszyłem kwestję jego artykułu, krytycznego, to tylko dla tego, że ten „fall Minkiewicz" zbyt jest ogólnym. Że artykuł jego ma wszelkie wady całego szeregu artykułów, że jest mego twierdzenia przykładem klasycznym.

Jedną rzecz chcę tu jeszcze podkreślić. Nie będę wchodził w buddyzm p. Minkiewicza, ani zwalczał jego klasycznych pomysłów wyprowadzenia imienia czarownic od... czar, a Dan od dan (y). Zbyt mi to żywo przypomina tego pana, który na pytanie czemu na bal przyszedł sam, bez żony odpowiada, że on jest już taki—samiec (najgłębiej przekonany, że „samiec" pochodzi od „sam") chodzi mi nie o humorystykę lecz o rzecz bezporównania poważniejszą.

Zadaniem krytyki literackiej jest przez tworzenie świadomości być świadomością twórczości. Zadaniem jej jest uświadamianie pewnych prawd określonych, które nie znalazły sobie jeszcze debitu w danej kulturalnej strukturze. A środkiem — wykazywanie tego, co w danej twórczości jest istotnem, niezaprzeczalnem, koniecznem. Rozgraniczanie istoty od całego szeregu naleciałości.

Pan Minkiewicz widzi niekonsekwencję w postaci Bożyszcza. Inaczej rozumiem postać Bożyszcza niż p. Minkiewicz, dlatego też nie chcę wcale wchodzić w istotę jego zarzutu. Chodzi mi o jego formę. Chodzi mi o tę tragikomiczną postać, którą pan Minkiewicz przybiera wtedy, gdy wytknąć ma poważną—według niego—niekonsekwencję, o ten ukłon, w którym się garbi, gdy ma wreszcie jedno słowo *krytyki* powiedzieć. Jest to zapoznanie wszelkich zadań krytyki literackiej. A wynika wprost z tego stanowiska, które już wyżej zaznaczyłem—z absolutnego braku jakiejkolwiek myślowej odpowiedzialności, z tego rodzaju zachwytu, ktory wyklucza wszelki krytycyzm, myśl wszelką. Nic w Polsce nie uwalnia tak od odpowiedzialności, krytyki, myśli—jak zachwyt. Tak już w to uwierzono, że kiedy zdarzyło się, że przez maślane pokłady zachwytu zdołała się przedrzeć—„śmieszna polska nędzo"—jedna zbiedzona myśl, tak jej się w dziwnem tem towarzystwie zrobiło nieswojo, że uczuła się zmuszoną tłomaczyć ze swojej obecności.

„Daruje mi autor te słowa krytyczne..."

Wstyd —

Wstyd mi za taki stosunek krytyka do pisarza, który jest jednym z najpierwszych w Polsce. Do którego w zupełności można zastosować to, co mówi St. Brzozowski o Żeromskim: [1])

> „Żeromski jest dla nas dzisiaj czemś więcej niż pisarzem, od którego oczekuje się książek, żąda się od niego wyzwalających wewnętrznych czynów. Na duszy jego zawisł cały świat dusz; ma on za nie odpowiedzialność".

Z takiego stosunku do pisarza, wynikają jasno obowiązki krytyka. Im wyższą—głębszą jest rzecz, którą się mierzy, tem większą do niej miarę przykładać należy. Ciekawym tego przykładem jest twórczość rosyjska i rosyjska krytyka literacka. Naskutek specjalnych warunków rozwoju rosyjskiej kultury,

---

[1]) Ciekawych odsyłam do studjum mego o „Róży" J. Katerli, pomieszczonego w 2 numerze „Społeczeństwa"

[1]) Stanisław Brozowski. Legenda młodej polski.

naskutek specjalnego składu rossyjskiej duszy—żaden naród może nie ma w takiem poszanowaniu swoich twórców, jak rosjanie. Pisarz w Rosji jest nie tylko pisarzem: jest on twórcą duszy narodowej, jest myślą narodu, jego mistrzem, nauczycielem, prorokiem. Jaskrawym przykładem tego stosunku są lata 70—80 zeszłego stulecia w Rosji. Nazwiska: Dostojewski, Gogol, Sałtykow, Czernyszewski, Uspienski i inni określają się same przez się.

I dlatego właśnie niezmiernie bogatą i ciekawą jest krytyka literacka w Rosji. Im większy pisarz, tem więcej od niego się wymaga, tem głębszej analizie podlegają jego dzieła.

U nas jest wprost przeciwnie. Wystarcza, żeby uznać kogoś za wielkiego, a już zuchwalstwem będzie wszelka myśl, wszelka krytyka w stosunku do jego wielkości. A poczytnem, uznanem jest rozpływanie się do niczego nieobowiązującym, nic nie mówiącym i nie określającym zachwycie.

Można i należy zachwycać się rzeczami zachwytu godnemi. Zachwyt ten jednak nie uwalnia od rzeczowej krytyki, od wniknięcia w głąb danego dzieła, od wykazania tego, co jest w dziele tem istotnego, niezaprzeczalnego, co wielkość jego stanowi.

Norwid mówił o Lenartowiczu, że chce się cierpieniem wymknąć konieczności stanowienia określonej myśli i woli. Minkiewicz i jemu podobni chcą się „zachwytem" wymknąć tej konieczności. Otaczają się nimbem zachwytu, duszną mgławicą bezkrytycznego uwielbienia i ta mdła, cieplarniana atmosfera w zupełności im wystarcza.

Mon Dieu! Quand aurons nous la pluie et la neige et le vent dans la serre. *Gustaw Been.*

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Władysław Grabski: Bilans Królestwa Polskiego w finansach Państwa rosyjskiego.

Rozwiązanie zagadnienia „czy Królestwo Polskie zasila skarb Cesarstwa kosztem własnych nadmiernych ciężarów i zbyt małych wydatków na cele pożytku miejscowego, czy też odwrotnie skarb Cesarstwa czyni na korzyść Królestwa nadmierne wydatki kosztem innych dzielnic Państwa" — oto zasadniczy cel pracy p. Grabskiego. W literaturze polskiej nie jest to pierwsza próba tego rodzaju: trzy lata temu wyszła ciekawa praca Wł. Żukowskiego, p. t. „Dochody i wydatki Państwowe w Królestwie Polskiem", ostatnio zaś ilość ulotnych artykułów i prac, poświęconych tejże kwestji, drukowanych na łamach poszczególnych dzienników polskich a nawet i rosyjskich znacznie się zwiększyła. To też śmiało rzec można, iż powyższe zagadnienie zostało dla sfer polskich, postępowych rosyjskich już ostatecznie rozwiązane; nie przekonało tylko tych, którzy przekonanymi być nie chcą.

P. Grabski zbija kolejno poglądy Jasnopolskiego; dotyczące 1887 r., poglądy Polenowa, omawiającego stosunki z 1898 r., Szwanebacha z 1900 r. Saburowa i Drużynina, którzy wszyscy, jednogłośnie stwierdzali w swych pracach „nieprodukcyjność Królestwa Polskiego. Polemikę p. Grabski prowadzi bardzo *rzeczowo* i *faktycznie*. Nie podaje wprawdzie swoich własnych dociekań i badań statystyczno-ekonomicznych, lecz operuje danemi statystycznemi tych autorów, których zwalcza, no i danemi, zaczerpniętemi z pracy Żukowskiego. Wykazuje całą fikcyjność wniosków Polenowa, Saburowa et tutti quanti, przeinaczanie i naciąganie przez nich faktów do swoich własnych, łatwo zrozumiałych celów. I pod koniec dochodzi ostatecznie i stanowczo do wniosku, iż Królestwo Polskie jest dla skarbu krajem wysoce produkcyjnym bowiem tylko w jednym 1907 r. dało czystego dochodu 38,8 mil. rb.

„Zwalanie na Królestwo Polskie winy za ubóstwo Rosji centralnej jest manjactwem złośliwem." P. Grabski więc doszukuje się w złośliwem manjactwie rosyjskich urzędowych ekonomistów tylko jednej przyczyny: rozgoryczenia z powodu ubóstwa centralnej Rosji. Pomija więc milczeniem cały szereg przyczyn natury politycznej, które właśnie w danym wypadku odgrywają olbrzymią rolę i dla których wysuwanie na pierwszy plan ubóstwa jest maską, kryjącą właściwy stan rzeczy. Wątpię, by p. Grabski nie wiedział o tej drugiej, a może i jedynej stronie medalu. To też zmuszeni jesteśmy zadać sobie pytanie, dlaczego właściwie autor tak rzeczowej broszury pominął milczeniem wiele, wiele przyczyn. Czyżby tego wymagała dyscyplina partyjna narodowej demokracji?..

Bolesław Rozstański.

Pieśni Słoneczne. Mieczysław Finkelstein-Ziębowski. Warszawa—1910. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Charakterystyczną cechą myślowego pierwiastku w poezji Ziębowskiego jest to, że autor zapatruje się na świat „sub specie aeternitatis." Zasadniczym postulatem światopoglądu poety jest *konieczność* posiadania własnego Boga — brata człowieczego — w człowieku znajdującego potwierdzenie siebie „swej konieczności w dążeniu do prawdy wyzwolenia."

„Niech szumi wkoło czerń—powiada poeta, niech legjon poecików—spłakanych upartych malców o łysych głowach w żebraczem oczekiwaniu „cichego westchnienia cudu" całuje pokornie sukienki „królewny."—My bracia pójdziemy swoją, odmienną drogą," Jest w tem dumnem wystąpieniu wiele młodzieńczej wiary w swe siły, jest intesywne pragnienie szukania nowych dróg—jest wiele pięknego giestu i twórczego dreszczu — co samo przez się wyróżnia Ziębowskiego zpośród kollekcji poetów—wodociągów—jest jednakże w tej płomiennej introdukcji autora wiele—wiele frazeologii.

Światopogląd autora oparty jest wyłącznie na *osobistej jego odczuwalności pewnych rzeczy* oraz na-*reakcji* na zjawiska zewnętrzne, w czasach ich *chwilowych* objawień.

Na str. 12 — naprzykład — Ziębowski głosi— „Patrzmy na kobietę dobrotliwie, a wyniośle, jak Chrystus na Magdalenę, bo „braterstwo z nią to upadek, to rezygnacja" — „Trzeba, żebyśmy to żądanie (żądamy od kobiety braterstwa duszy) z siebie wyplenili, jako chwast" i t. d. Na str. zaś 24. (Noc lipcowa) Ziębowski śpiewa:

„Twoich biódr gibkich i twych ud
Siła tęsknoty utajona
Bije mi w pierś, gdyby prześniona
Pieśń mej młodości jasnych złud."

A dalej:

Kochaj mnie! Szum bezmiernych wód
Przyzywa rzekę tak. A ona
W dziki się zrywa pęd, trawiona
Troską o nowych blasków rzut!

Czyż wobec tylu. ponętnych dla poety kobiecych zalet przyrodzonych (biódr gibkich i ud) należy gardzić—kobietą?

Ale mniejsza o to—wielką bowiem zaletą poezji Ziębowskiego jest jej chociażby—pochodzenie,—nie wyrosła ona w atmosferze miękkich sprzętów buduarowych, powołały ją do bytu wzajemne ścierania się ze sobą tych potęg w człowieku, które świadectwo dają o istnieniu, tak zwanej—duszy.

Z lutni autora „Pieśni słonecznych" płyną męzkie tony, istotnie wstrząsające miejscami—jakimś pytyjskim furorem (Słoneczny tan str. 20).

W „Hymnie" znajdujemy takie naprzykład strofy (str. 98):

Oblubienico, która zginąć musisz
Oblubienico słońca, co czarujesz
Smutkiem twej blizkiej śmierci—i tęsknotą.
Wiecznej Radości,—o jasna, co tańczysz
W takt mego serca słonecznej muzyki i t. d.

Pod względem siły expresyjnej zbiorek nie równy—przeważają jednak naogół tony potoczyste, rozlewne i harmonijne. Styl odznacza się wszędzie podniosłym nastrojem. Odczuwa się pietyzm autora do — sztuki poetyckiej.

Ziębowski posiada w sobie wiele jeszcze twórczej mocy na przyszłe, wyższe i rozleglejsze loty, (str. 111. — Na lot). Życzę autorowi, by jego szczere intencje poetyckie zostały uwieńczone powodzeniem.

Antoni Nowacki.

Marjan Dubiecki. Z przeszłości (1861—1862) Kijów. 1910. Leon Idzikowski

Są to wspomnienia autora z czasów jego wygnania, które nastąpiło za nieznane dziś przewinienia, — za postawienie krzyża przydrożnego, który wówczas, po zjeździe horodelskim, oznaczał także symbol łączności ludów i męki ojczyzny. Książka jest pełna szczegółów ze zmiennych kolei podróży, odbywanej w kibitce, jako też z opisów miejsc wygnania, ludzi, stosunków. Z zamiłowaniem i głębokiem rozrzewnieniem p. Dubiecki kreśli sylwetki wygnańców, rzuconych różnemi czasy do wielce dziś popularnych „odległych guberni w Cesarstwie".

Walery Przyborowski. „Przyczyny upadku Polski" Warszawa. „Nowości literackie".

Nagłówek winien być użyty w liczbie pojedyńczej. Według tego pisarza jedną i wyłączną przyczyną upadku Polski był brak genjalnych wodzów, hetmanów i naczelników wojennych. Na 266 stronicach, w rozwlekłych opisach wojen i powstań, autor nagina bieg wypadków dziejowych do powziętego z góry założenia. Z tego względu praca ta jest nienaukową. Gdzie nie gdzie spotykane w książce tej poglądy ekonomiczne należą do najstarszej szkoły ekonomistów francuskich i dawno przez naukę nowożytną pogrzebane zostały. Niesmaczny, wysoko napięty patos — czytanie tej pracy czyni uciążliwem i męczącem — p. Walery Przyborowski, znany ze swych książek historycznych dla młodzieży, miast poświęcić pięć lat na napisanie pracy niniejszej, użyłby je z większym pożytkiem i powodzeniem na kreślenie opisów z życia czerwonoskórych Ameryki Północnej, lub aligatorów z nad słonej rzeki.

H. L.

Z TEATRU MAŁEGO.

Panna Julja—dramat naturalistyczny w 2-ch aktach. Strindberga — Goście dramat w 1-m akcie Przybyszewskiego.

Dwaj przyjaciele Monachijscy spotkali się dzięki kierownikowi wolnej sceny p. Gorczyńskiemu—jednego wieczoru w teatrze Małym. Strindberg pokazał „naturalistyczny dramat" Pannę Julję.—Przybyszewski „Gości", którzy jeszcze dzisiaj dla niektórych „krytyków" — z pisemek zachowawczych, uchodzą, jako „heljogryfy", których odczytać nie umiałby napewno i sam Przybyszewski." No, można w to jeszcze powątpiewać—chociaż p. Dworzaczek stanowczo twierdzi że tak jest, gorzej, jednak gdy widzimy naszą publiczność, przejmującą się aż do omdlenia okropnościami „Panny Julji"—jakgdyby to wszystko nie działo się na scenie między kulisami teatru Małego, ale gdzieś — naprawdę w ich obecności piękna hrabianka chciała sobie poderznąć szyję brzytwą lokaja— a ten tak, zmuszał ją do tego, hypnozą, nie gorzej od sławnego Cagliostra! I o co to wszystko? Boże drogi, nie jestem programowym nieprzyjacielem pięknych tytułów, ale śmiało przypuszczam, że gdyby każda hrabianka chciała po chwili słodkiego zapomnienia z lokajem — zaraz chlast, chlast brzytwą po gardle—toby już dawno nie było arystokracji na świecie! I kto wie czy o tem nie myślał Strindberg, który kazał się Julji upić, czyniąc z tego furtkę dla całego szeregu barbarzyńskich wybryków, które są również szalone i nierozumne jak przykre! Panna Julja jest piękną, młodą, obdarzoną niezwyle wybitnym temperamentem kobietą — i w zasadzie niema w niej nic, okropnego. Pierwszy akt przechodzi nawet bardzo spokojnie! Słychać melodje szwedzkich piosenek, które grzeczny dyrektor telefonów, pożyczył p. Gorczyńskiemu, słychać skrzypeczki i tańce! Wieśniacy się bawią w piękną, gorącą noc św. Jana—a Panna Julja—tak sobie lekko flirtuje z lokajem swojego ojca. — No i piją trochę—ona jest podniecona on — „tylko mężczyzną" — i... zasłona opada. A kiedy znów idzie do góry—na scenie zaczyna hulać orgia niedorzeczności, Panna Julja, ze zwykłej, namiętnej ekscentrycznej hrabianki rozpróżniaczonej i zmysłowej staje się głupią, przeczuloną, histeryczką wpadającą już w szaleństwo obłędu, nieznośnego w formie swojej do tego stopnia, że trzeba dużych wysiłków woli, żeby spokojnie, z uśmiechem wysłuchać do końca tego w wysokim stopniu nienaturalnego naturalizmu! Nie umiała zapanować nad sobą publiczność, przyjmująca zbyt serjo—to widowisko—które Strindberg przez swoją nienawiść do kobiety wyokropnił, nie widząc już nawet granicy między rzeczywistością a karykaturą—między prawdą brutalną—a plugawem kłamstwem, które w pewnych warunkach scenicznych, jest naprawdę—nie do zniesienia!

Publiczność wyrażała swoje niezadowolenie szemraniem, a kobiety przodowały w tem szemraniu, czując się obrażonemi i rozumiejąc, a może tylko przeczuwając, że największą wadą „Panny Julji — jest niewolnicza zależność Strindberga od swojej idei nienawiści, która w pewnych momentach uderza przykrym doktrynerstwem rozbijanem „wprost" nieubłaganą logiką przyczyn i rezultatów! Ta silniejsza od zdrowego rozsądku nienawiść do kobiety, stworzyła w sztuce Strindberga fatalną karykaturę życia, obfitującą w barbarzyństwo środków, sprowadzających obrzydzenie do całej tej historji — tak nienaturalnej i tak prowokująco przykrej.

Po torturach szalejącego głupstwa, pokazano nam starannie wystawionych i przygotowanych z pietyzmem „Gości" Przybyszewskiego. Jest jakgdyby męczący sen człowieka, który dopóścił się zbrodni nie

będąc do tego dostatecznie przygotowanym. Adam ucieka przed strasznym gościem—sumieniem, z którym się spotkał raz w „ciemnej alei parku"—i wie, że odtąd go już nie opuści! Rzecz się rozgrywa w ogrodzie pałacowym do którego zdaleka — dochodzą tony muzyki. Grają Danses macabres—a ma być to walc balowy. Ludzie snują się po parku; jak cienie. Nad wszystkim wisi fatalna ręka przeznaczenia!.. Goście wreszcie przekonywują Adama, że się powinien zabić. Wychodzą—muzyka cichnie Ogród zasnuwa pajęczyna ciemności—Sztuka skończona! Nastrój taki ponury, że co weselszym z publiczności, zdaje się że są na własnym pogrzebie! Idą więc na kolację, wykrzykując, że mają już dosyć takich przyjemności i w prostocie ducha swego, najniespodziewaniej spotykają się ze zdaniem największego znawcy naszej literatury, największego artysty i twórcy w krytyce— ze zdaniem Matuszewskiego.

„Zawsze i wszędzie za pierwszą znamienną cechę dzieła sztuki uważano słusznie piękno.

„Cóż to jest piękno?

„Najogólniej biorąc, pięknem nazywamy to wszystko, co nas wzrusza w pewien właściwy, ale zawsze *przyjemny*, nigdy *przykry* sposób!

I tak jest naprawdę!

W „Gościach" doskonale, z dużym pogłębieniem grał Gościa p. Orliński. Świetny ten artysta coraz bardziej wyróżnia się z pośród artystów teatru Małgo. Jego gra skupiona i przemyślana, pełna spokojnej twórczości daje dzieło poważnej wartości artystycznej— i przy wielkiej technice przechodzi często w niezaprzeczone wirtuozostwo! Talent Orlińskiego — godny jest lepszej oprawy, niż teatr Mały—i doprawdy czas, żeby Rozmaitości pomyślały o zaangażowaniu tego nieprzeciętnego artysty!

St. Kiedrzyński.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie, kraju, cesarstwie i zagranicą: 3 rb. 60 kop.; półrocznie 2 rb. kwartalnie 1 rb. (W Galicji rocz. kor. 9, półrocz. kor. 2.50. W Ks. Poznańskiem: rocz. Mk. 8 półrocz. Mk. 4.50, kwar. Mk. 2.25. Numer pojedyńczy 15 kop.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Krucza Nr. 7.**

Redaktor i wydawca **Czesław Kryński.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki Nowy-Świat 47.